

KRZYSZTOF SZLACHCIC
Uniwersytet Wrocławski

Dysonanse w dzienniku lektur młodego badacza

RADOSŁAW ŻYSZCZYŃSKI, *Kotarbiński, Nietzsche, Rymkiewicz — trzy wersje nihilizmu*, Oficyna Wydawnicza Arboretum, Wrocław 2015, ss. 261.

Moje spostrzeżenia, oceny oraz sugestie kierowane do Radosława Żyszczynieckiego, autora recenzowanej pracy, dzielę na trzy części. W pierwszych dwóch zwracam uwagę na pozytywne aspekty publikacji, a w części trzeciej przeważają moje krytyczne uwagi o książce.

I

Z informacji podanych w książce czytelnik dowiaduje się, że Radosław Żyszczyniecki jest uczestnikiem Studium Doktoranckiego przy Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego. Uzyskał wsparcie finansowe od macierzystego wydziału, wsparcie, które umożliwiło mu opublikowanie omawianej tu książki, będącej owocem pierwszych dwóch lat pracy w ramach Studium. Ten element polityki naukowej Wydziału Nauk Społecznych uznaję za niezwykle cenny. To w mojej ocenie jedna z lepszych form pomocy, jaka może być udzielona młodym zdolnym badaczom; to jeden z najlepszych sposobów stymulowania pracy naukowej młodych. Abstrahując na moment od sposobu, w jaki ta pomoc została wykorzystana w przypadku omawianej pracy, chciałbym wyrazić nadzieję, że ze strony WNS Uniwersytetu Wrocławskiego podobne działanie będzie stałą praktyką.

* * *

Recenzowana książka podzielona jest na sześć zasadniczych części. Są to kolejno: *Wprowadzenie* (s. 9–31), *O Tadeuszu Kotarbińskim* (s. 33–61), *Słabość myśli*

Fryderyka Nietzschego (s. 63–140), *O Jarosławie Marku Rymkiewiczu* (s. 141–232) oraz *Zakończenie* (s. 233–250). *Otwiera ją krótkie Podziękowania* (s. 7), a całość zamyka obszerna bibliografia (s. 251–261).

Praca ma specyficzny charakter. Trudno ją zaliczyć do określonego gatunku prozy naukowej. Jest tak między innymi dlatego, że niektórych jej fragmentów nie sposób traktować — nawet przy najbardziej życzliwej interpretacji — jako należących do szeroko rozumianego dyskursu naukowego¹. Krótki wyimek z opinii jednego z recenzentów wydrukowany na okładce książki kieruje uwagę ku publicystyce i prozie filozoficznej. Być może jest to najlepsza diagnoza: książka Radosława Żyszczyńskiego może być sytuowana na granicy tych dwóch dziedzin. Jednak i to lokowanie jest o tyle nieprecyzyjne, że nie uwzględnia w recenzowanej pracy fragmentów o charakterze prywatnego dziennika, wyimków z bardzo osobistego dziennika lektur.

Sam Żyszczyński postrzega swoją książkę jako esej, dokładniej, „jako popularnonaukowy esej filozoficzno-literacki” (zob. s. 19). Tej autodiagnozie towarzyszy takie oto dopowiedzenie: „Zasadniczo nie sięgam do arsenału humanistycznych banałów, [...], oszczędnie korzystam z toposów kultury europejskiej, nie wychodzę z dowolnego punktu i ogólnie wiem, dokąd zmierzam, unikam zmyśleń i konfabulacji, stosuje zarówno wykład bezpośredni, jak i obrazowanie” (s. 19–20). Odkładam do części trzeciej mojej recenzji uwagi o tej autoprezentacji oraz samego sposobu jej realizacji przez Żyszczyńskiego. W niej także nawiązania do przywołanej deklaracji, to jest, że „ogólnie wie dokąd zmierza”, nawiązania, które przedstawiam w duchu pytania, czy *czytelnik* po lekturze jego pracy *również wie, dokąd autor zmierza?*

Nieprzypadkowo już na początku recenzji sygnalizuję moje trudności z lokalizacją książki Żyszczyńskiego w klasyfikacjach tekstów naukowych, czy też szerzej, literackich. Wstępna hipoteza o gatunku analizowanej pracy może bowiem w istotny sposób rzutować na oceny przedstawianych w niej treści. W tym konkretnym przypadku autor nie pomaga czytelnikowi, podsuwając mu przyporządkowanie pracy do powoływanego przez siebie do istnienia gatunku rozpraw — „popularnonaukowy esej filozoficzno-literacki”. Wczytanie się bowiem w jego rozrzucone uwagi o naukowości (o tekstach akademickich) i filozofii prowadzi do trochę deprymującego wniosku, że za przytoczonym określeniem stoi wskazanie, iż *czytelnik* ma do czynienia z *logiczno-nielogicznym tekstem literackim*².

Jaką więc postawę przyjmuję wobec pracy? Postawę gotowości rozmowy z autorem za pośrednictwem jego tekstu. Uzupełniona jest ona wstępnym założeniem, że Żyszczyński nie ofiarowuje książki matematycznej (podobnej do *Elementów*

¹ Tytułem przykładu: „Czerpię również z niemal dzisiejszego artykułu Cezarego Łazarewicza. Znalazłem go na internetowej stronie »Newsweeka«. Publicysta po obejrzeniu filmu *Poeta pozwany* przypomina o różnych wydarzeniach z bliższej i dalszej przeszłości. *Nie przepadam za nim*. Dzięki kontrowersyjnemu artykułowi o Rajmundzie Kaczyńskim, ojcu dwóch znanych polityków Lecha i Jarosława, uwikłał się w ostry spór z dziennikarzami sympatyzującymi z prawicą. Wybuchła publicystyczna awantura, ponieważ sugerował, że bracia wraz z matką świadomie zaniedbali pamięć o zmarłej głowie rodziny z przyczyn emocjonalnych i ideowych. W konsekwencji, w 2012 roku otrzymał nominację do nagrody »hieny roku« od Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich” [s. 141, opuszczony jeden przypis, kursywa dodana — K.S.].

² Objasnienie powyższego wolnego od ironii zdekodowania nazwy gatunku zarysowuję w części trzeciej recenzji.

Euklidesa), to oczywiste, ale chce coś komunikować w ramach wybranej swobodnej formy, żywiąc przy tym choćby niewielki szacunek dla inteligencji (zdrowego rozsądku) czytelnika.

W ramach tych wstępnych uwag odnotuję jeszcze, że dość łatwo można uchwycić coś, co nazwałbym „tonem wypowiedzi”. Jest czymś charakterystycznym, że we *Wprowadzeniu* i w niektórych dalszych częściach pracy ukazuje się Żyszczyński czytelnikowi jako teoretyk o prawdziwie ambitnych celach, którego irytuje małość polskich badań filozoficznych. Pisze tak, na przykład: „Nikt w Polsce — i to, o ironio, uważam za źródło nieszczęścia — nie próbuje wyrosnąć ponad poziom skrupulatnej historii idei i wybić się na niepodległość filozofii systematyzującej à la Arystoteles czy Gottfried Wilhelm Leibniz” (s. 12). Od razu też zaznaczam, że choć ten swoisty nieskrywany maksymalizm dążeń powiązany jest z mało wartościową z teoretycznego punktu widzenia łatwością przedstawiania globalnych ocen sytuacji w filozofii w ogóle³, a jest to, jak powszechnie wiadomo, jeden z symptomów amatorskiej (czyli nieprofesjonalnej) roboty filozoficznej, symptom pojawiający się często w grafomaństwie filozoficznym, to jednak jako czytelnik jego rozważań daleki byłem od szybkiego ich dyskwalifikowania z tego właśnie powodu⁴.

II

Na mojej liście tego, co cenne w recenzowanej książce, umieszczam na pierwszym miejscu język niektórych jej fragmentów, samo tworzywo językowe, którym zostały wypełnione jej obszerne partie. Polszczyzna Żyszczyńskiego zaprezentowana na licznych stronach pracy, ma swój własny, oryginalny ton. Jest to w mojej ocenie język żywy, barwny, plastyczny i w bardzo małym tylko stopniu wykorzystujący schematyczny żargon akademicki, jego szablony językowe.

Przyпускаjąc, że wielu czytelników może podzielić moje odczucie: to w wielu miejscach język prawdziwie odświeżający, przypominający rzadziej używane zasoby współczesnej polszczyzny. Mając na względzie wskazane tu ogólnie cechy języka stosowanego przez Żyszczyńskiego, zastanawiałem się nad umieszczeniem w tytule tej recenzji odwołania do tradycji Nowych Dzikiem (Neue Wilde) we współczesnym

³ Autor ma zwyczaj operowania terminem „filozofia”, posługując się liczbą pojedynczą, to jest w taki sposób, jakby ta dyscyplina w swoim historycznym rozwoju rozwijała się linearnie, nie była radykalnie podzielona na odmienne tradycje, czasem wykluczające się wzajemnie. To swoiście subiektywne ujmowanie filozofii prowadzi Żyszczyńskiego do takich oto globalnych diagnoz, jak jedna z jego opinii o Nietzschem i XX oraz XXI stuleciu: „myśliciel od pewnego momentu swojego życia był ostatnim, któremu na czymś zależało” (s. 10).

⁴ Ta swoista nonszalancja autora wobec złożoności tradycji filozoficznych Zachodu prowadzić może czytelnika do ograniczonego tylko zaufania względem jego kompetencji jako akademickiego filozofa, ale też nie powinna, moim zdaniem, prowadzić do szybkiego potępienia próby filozoficznej Żyszczyńskiego. Wystarczy bowiem pomyśleć o działaniu autora w duchu parafrazy powiedzenia J. Piłsudskiego — „Kto nie był marzycielem i maksymalistą filozoficznym za młodu, ten na starość będzie...” [u Marszałka słowo niecenzuralne] — i przejść do porządku dziennego nad tymi jego ocenami filozofii w ogóle.

malarstwie, jako dobrego analogonu owej *jędrności, dosadności, swoistej bezpośredniości językowej, którą prezentuje autor*⁵.

Nie ma mowy, oczywiście, bym mógł w tej prezentacji podać obszernie fragmenty książki *Kotarbiński, Nietzsche, Rymkiewicz* ilustrujące wspomniane tu przykłoty języka Żyszczyńskiego. Być może wskazanie podobieństwa owego języka do stylistyki wcześniejszych prac Tadeusza Kotarbińskiego pomoże czytelnikowi tej recenzji uchwycić specyfikę omawianej pracy.

Oto jeszcze kilka niezbędnych dopowiedzeń do powyższych pochwał. Nie we wszystkich fragmentach książki jej język jest tak interesujący, jak to opisałem. Niestety, łatwo też można znaleźć obszerniejsze fragmenty referowania poglądów innych autorów, które przygotowane są w manierze dość mechanicznie czynionych streszczeń, zapisane „szkolnym” językiem. Żyszczyński ma świadomość tego stanu rzeczy, uprzedza o czytelnika, że zetknie się w jego książce również z takim materiałem (na przykład na stronie 27 zaznacza: „W sporych partiach tekstu ograniczam się wyłącznie do przytaczania cudzych opinii”). Do tej kwestii, do kwestii konstrukcji powrócę w trzeciej części moich uwag. Cóż, szkoda, że Żyszczyński nie działał z większym samokrytycyzmem przy redakcji pracy i nie ograniczył wspomnianej składowej. W mojej ocenie obniżają jakość całości rozważań także niewielkie fragmenty, w których językiem marnych gazet pozycjonuje Żyszczyński Rymkiewicza na tle debat z ostatnich dziesięcioleci (w mniejszym stopniu dotyczy to też Kotarbińskiego). Nie dostrzegam tu teoretycznego dystansu wobec, na przykład, tego typu prostych, a nawet prostackich kwalifikacji politycznych, w których Rymkiewicz jest ukazany jako „skrajny prawicowiec” (s. 10).

Chwałę język Żyszczyńskiego, ale nie jest to też równoważne z przypisywaniem mu stylistycznego mistrzostwa, w tym braku błędów i niezręczności stylistycznych czy też swobody w grze konwencjami językowymi (nieporadność taką widać już na początkowej stronie z podziękowaniami). Ale o dziwo, widząc te trafiające się ułomności językowe, tym bardziej uwidacznia się w moich oczach coś, co nazwałbym talentem językowym. Zaryzykowałbym też hipotezę, że to jego przyrodzony talent.

Jest jeszcze jedna cecha literackiego działania Żyszczyńskiego, która zasługuje na odnotowanie na liście przymiotów książki budzących moje uznanie. W wielu miejscach, przede wszystkim poza owym wspomnianym „szkolnym referowaniem”, Żyszczyński ujawnia zdolność do *natychmiastowego przystępowania do rzeczy*, to jest formułowania problemu bez zbędnych wcześniejszych wprowadzeń, dopowiedzeń... i *natychmiastowego rozpatrywania go*. Czytelnik zapoznaje się z dwoma początkowymi zdaniem nowego wątku i od razu jest wprowadzony w sedno problemu. Skądinąd jest czymś interesującym, że wskazany talent Żyszczyńskiego nie zawsze współwystępuje z umiejętnością sprawnego teoretycznego argumentowania w dłuższych sekwencjach wywodów. (Moja ocena zostanie zilustrowana przykładami z recenzowanej książki w następnej części moich uwag).

⁵ Pozwolę sobie tu na swobodną uwagę: kto wie, czy zastąpienie na okładce książki reprodukcji *Piazza San Marco* Canaletta przez — na przykład — jeden z obrazów Zdzisława Nitki, artyście związanej z Nowymi Dzikiemi, nie oddawałoby lepiej jej „ducha”?

III

Na początek tych krytycznych spostrzeżeń⁶ przedstawię kilka uwag o przygotowaniu tekstu pracy. Część moich uwag w tym fragmencie ma charakter ogólnych ocen jakościowych. Przy formułowaniu ich nie zapomniałem o zapewnieniach Żyszczyńskiego, że przedstawia specyficzny esej.

W trakcie lektury książki można dostrzec niedopracowanie samego tekstu, dokładniej, brak staranniejszej redakcji odautorskiej. Sądzę, że wystarczyłoby przeprowadzenie „drugiego czytania” pracy, które w łatwy sposób pozwoliłoby usuwać zdarzające się usterki stylistyczne pierwotnej wersji rozprawy i inne błędy w pierwotnym maszynopisie. Nie mam wątpliwości, że dostrzeżenie ich i usunięcie było w zasięgu możliwości autora.

Innym zaniedbaniem Żyszczyńskiego w procesie redagowania jest też w moich oczach niedostateczny krytycyzm wobec własnego tekstu. Wskazuję tu na ten rodzaj krytycyzmu, który związany jest z następującym pytaniem towarzyszącym piszącemu: *Czy rzeczywiście potrzebny jest dany fragment w mojej książce ucieleśniającej zamysł taki a taki? I bardziej szczegółowo: Czy rzeczywiście muszę przedstawiać (referować) czytelnikowi mojej pracy wszystkie moje lektury, nawet te, do których dodaję komentarz najbanalniejszy z możliwych? Czy nie wystarczyłoby odnotowanie ich tytułu w przypisie? Czy muszę „włożyć” w tekst książki nawet te wspomnienia z lektur, które mają niktę związki z omawianymi problemami?* Oczywiście, trudno tu o apodyktyczne sądy ze strony czytelnika, ale nie mam wątpliwości, że cały tom zyskałby po przeprowadzeniu tego typu oczyszczającego działania w procesie autorskiego przygotowania maszynopisu.

Szczególnym przypadkiem wątków, których usunięcie mogłoby być korzystne dla tekstu, są pojawiające się dość często zapisy mowy wewnętrznej przedstawiane w postaci ocen, deklaracji, opisu czynności autora, które mówią o jego „subiektywnych stanach wewnętrznych” i które zachowane w publikowanym materiale mogą być odbierane jako przejaw niepotrzebnego ekshibicjonizmu czy też — łagodniej — nieuzasadnionego kontekstem nadmiernego eksponowania autorskiego ego. Być może to kwestia indywidualnego smaku, ale sam nie mam potrzeby bycia wprowadzanym zbyt głęboko za kulisy zarysowywanej w rozważaniach scenerii. (Proszę spojrzeć na cytaty ze s. 141 w przypisie 1 niniejszej recenzji z deklaracją autora: „*Nie przepadam za nim*” o redaktorze Łazarewiczu. Nawet jeśli skądinąd podzielam subiektywną opinię o danej sprawie, to nie jestem entuzjastą poznawania wszystkich elementów maszynierii umysłu autora. Tym bardziej, że są to najczęściej uwagi z innego porządku niż porządek opisu i argumentacji czy też z porządku istot-

⁶ Przystępując do sformułowania krytycznych spostrzeżeń o książce Żyszczyńskiego, nie zapominał o wierszowanym „autonapomnieniu” Tomasza z Akwinu: „Panie, Ty wiesz lepiej, aniżeli ja sam, / że się starzeję [...]. / Zachowaj mnie od zgubnego nawyku mniemania, / że muszę coś powiedzieć na każdy temat / i przy każdej okazji. / Odbierz mi chęć prostowania każdemu jego ścieżek”. Jeśli więc przedstawiam te uwagi, to czynię to z nadzieją, że autor omawianej książki będzie miał z nich choćby niewielki pożytek, pożytek większy niż ten płynący z uczestnictwa w prowadzonych przeze mnie przed laty konwersatoriach w ramach jego studiów filozoficznych.

nych deklaracji w kwestiach wartości). Tego typu zapisy owej mowy wewnętrznej (zob. np. s. 143) mają podobny status jak ewentualne zapisy o elementarnych czynnościach fizjologicznych toczących się równolegle z procesem zapoznawania się przez niego z kolejną lekturą — oddychanie, naturalne pocenie się etc. Spoglądając na rzecz pragmatycznie: są one w mojej ocenie zbyt liczne, mogą bowiem utrudnić dobrą rozmowę z czytelnikiem⁷. Do tej kwestii sygnalizowanej tą skrótową uwagą jeszcze powrócę w dalszym komentarzu do autorskich objaśnień wybranej przez niego formy eseju.

Wyraźnie muszę przy tym zaznaczyć, że powyższa sugestia w żadnym przypadku nie godzi w obecność osobistego tonu w rozważaniach Żyszczyńskiego, w jego deklarowanie określonych wartości, w zaangażowanie ujawnione w debacie z innymi autorami. Tu tylko zaznaczę, że z mojego punktu widzenia najważniejsza przy próbie nasycenia tekstu subiektywnym świadectwem jest zrzeczność w posługiwaniu się słowem. Bez wielkiej sprawności literackiej nie można osiągnąć zadowalających rezultatów.

Daleki także byłbym od czynienia zarzutów z posługiwania się wyrazistymi w formie wartościowaniami oraz dosadnymi krytykami. Jeśli jednak poważnym zarzutem wypowiedianym przez Żyszczyńskiego pod adresem innych autorów nie towarzyszą solidne uzasadnienia (przedstawione choćby w skondensowanej postaci), to może być to traktowane przez odbiorców pracy jako jej istotna słabość.

* * *

Dokonanie sugerowanej przeze mnie staranniejszej autorskiej redakcji maszynopisu nie wystarczyłoby jednak do naprawienia istotnych defektów w konstrukcji wywodów obecnych w recenzowanej książce. Odnotuję kilka z nich, przede wszystkim te, które uważam za istotne.

Jednym z nich jest problem nieadekwatności tytułu książki i jej treści. Kwestię tę uważam za istotną, albowiem Żyszczyński wprowadza w błąd czytelnika, obiecując mu w tytułowej zapowiedzi, między innymi, rozważania o *Nietzscheańskiej wersji nihilizmu*. Okazuje się jednak, że to nie tyle rozprawa o pewnym aspekcie poglądów Fryderyka Nietzschego, ile o nietzscheanistach, przede wszystkim o polskich nietzscheanistach! Dodatkowo bardzo ryzykowne wydaje mi się podjęcie decyzji przez Żyszczyńskiego, że omawiając nietzscheanizm, nie ma on zamiaru rekonstruować poglądów niemieckiego filozofa — pisze bowiem o poglądach nietzscheanistów bez stawiania problemu rozumienia owego nietzscheanizmu. Przy czym nie jest to rodzaj niedopatrzienia! Przeciwnie, jest to świadoma decyzja w taki oto sposób komunikowana czytelnikowi: „W kolejnych rozdziałach rozprawię o zasadniczych pojęciach nietzscheanizmu. Owszem, widzę je przez pryzmat

⁷ Choć każdy z takich elementów brany „z różnych poziomów” może być uznany za prawdziwy z osobna, zaistniały, to jednak zgromadzenie ich wszystkich w jednym miejscu tekstu nie składa się na pogłębiony przekaz treści. Przeciwnie, sądzę, że tego typu strukturalne hybrydy utrudniają autorowi wyrażenie czegoś istotnego.

opinii komentatorów. Ale w przypadku Nietzschego nie ma to większego znaczenia, skoro badając źródła, możemy co najwyżej powielić cudze podejście albo zaproponować nowe. To ostatnie zyska uznanie, jeśli okaże się możliwie pełne względem przebogatego materiału źródłowego, a zarazem nie zapomni o programowej otwartości i antysystemowości myślenia. Obiektywna, pełna prawda w omawianym kontekście nie występuje albo jest niepoznawalna, albo służy celom czysto retorycznym i instrumentalnym” (s. 25).

W mojej ocenie ta *programowa deklaracja* stanowiąca ucieczkę od próby choćby szkicowego zarysowania zespołu poglądów, które Żyszczyński gotów byłby wskazać jako istotne (kluczowe) elementy filozofii Fryderyka Nietzschego, jest — gdyby brać ją serio — jednoznaczna z odebraniem przez samego autora wartości teoretycznej dalszych jego rozważań o nietzscheanistach! Żyszczyński w ten sposób pozabawia się — programowo! — jakiegokolwiek busoli pozwalającej mu, na przykład, wartościować kolejno omawiane propozycje polskich autorów⁸. Ciężar omawianego błędu w przyjętej strategii postępowania jest tak znaczny⁹, że trudno mi nawet wymyślić z życzliwości jakiś rodzaj alibi.

Skądinąd przykładem wyraźnej niekonsekwencji teoretycznej jest, że autor sam w wielu fragmentach tekstu nie stosuje się do cytowanej programowej zasady i z mniejszą lub większą swobodą przedstawia bardzo apodyktycznie rozmaite własne poglądy na temat filozofii Nietzschego, jej istoty. Już na początku pracy stwierdza: „Niemieckiego filozofa rozdziera problem pogodzenia nadziei na szczęśliwe zwieńczenie historii ze świadomością bezcelowego charakteru natury. Sprzeczność nie powstała dzięki umiłowaniu nauki czy najwyższych wartości” (s. 16). I dalej w podobnym duchu, by wreszcie ocenić: „*A interpretatorzy i komentatorzy? Pozostają zagubieni w swoim ponadczasowym kosmopolityzmie, naiwnym przeszczepianiu niemieckich tradycji romantycznych na grunt nadwiślański, niemożność wyjścia poza łatwą skrupulatność historyka. Przez nich również przeziiera duch nihilizmu, przytłoczenie poczuciem wtórności i bezcelowości*” (s. 16, kursywa dodana). Na marginesie, chwalać we wcześniejszej części tych uwag „lokalną” sprawność językową Żyszczyńskiego, wspominałem, że ma on kłopoty z zachowaniem poprawności wywodu w dłuższych partiach tekstu. Komentowany tu przeze mnie przypadek niekonsekwencji może być ilustracją mojej wcześniejszej ogólnej oceny.

Do tej samej rodziny niedostatków roboty zaliczyłbym obecność w tekście wywodów ukazujących chaotyczny, niedyscyplinowany bieg myśli. Nasilenie tej cechy bywa tak znaczne, że z punktu widzenia czytelnika w przypadkach niektórych rozważań mogłyby pewnie być one oddane graficznie przez znany przyrodnikom opis zjawiska tak zwanych ruchów Browna. Sądzę, że błędem jest uznawanie, iż forma eseju zwalnia autora z dyscypliny intelektualnej przejawiającej się, między innymi, w surowej selekcji wątków i pewnej konsekwencji wywodu. Bez tego nie powstanie dobra praca — bez względu na to, czy ma powstać monografia, czy swobodniejszy

⁸ W świetle wskazanej rezygnacji z określenia filozofii Nietzschego fragmenty, w których autor łączy jedną z polskich komentatorek, wytykając jej „ślepotę interpretacyjną” (zob. s. 130), mogą wywołać — z metodologicznego punktu widzenia — jedynie szczery uśmiech czytelnika.

⁹ Otwiera on drogę do prowadzenia rozważań filozoficznych zgodnie z destrukcyjną maksymą „anything goes”!

w formie esej. Przykłady z książki Żyszczyńskiego najlepiej ukazałyby podnoszone przez mnie problem swoistej „logiki” wywodu, w którym przedstawia on czytelnikowi zagadnienie w taki sposób, że z niejasnych powodów podąża za kolejnymi zupełnie przypadkowymi, jak się wydaje, elementami. Niestety, satysfakcjonujące ilustracje tej słabości książki nie nadają się tu do zacytowania gdyż są zbyt obszerne. Niech więc wystarczy tylko jeden adres tytułem przykładu: na stronach 69–71 komentowane jest zagadnienie immoralizmu Nietzschego (z przywołaniem tekstu T. Zielińskiego) z zadziwiającą czytelnika kolekcją odniesień i zarazem brakiem selekcji wątków i przykładów.

Do grupy kwestii, które nazywam tu istotnymi problemami konstrukcji całości rozważań omawianej książki, zaliczyłbym także sposób, w jaki Żyszczyński w początkowych jej partiach określa całą pracę, jej charakter, oraz szczegółowo argumentuje na rzecz przyjętego w niej podejścia do tytułowych zagadnień.

Rozbudowany wątek objaśnienia charakteru prezentowanej książki (zob. *Wprowadzenie*) ma swoją praprzyczynę w fakcie, że trzy kluczowe jej części to wyjściowo odrębne szkice o Kotarbińskim, nietzscheanistach oraz o Rymkiewiczu. Autor potwierdza taki właśnie pierwotny kształt pracy, między innymi przy opisie swojej pracy nad *Wprowadzeniem* oraz wspomnieniem zachęt od innych osób, które w jej trakcie otrzymywał.

Z kilku powodów oceniam finalny efekt tego wysiłku scalającego wspomniane trzy szkice swoistym metateoretycznym przesłaniem jako niezadowalający, a samo podjęcie tegoż zadania za niepotrzebne i od początku wielce ryzykowne. Niepotrzebne w tym sensie, że bardzo łatwo mogę (można) sobie wyobrazić niniejszy tom jako zbiór trzech niezależnych szkiców pozbawiony słabego teoretycznie *Wprowadzenia*. Jeśli uznać moją diagnozę, że wprowadzające uwagi nie niosą żadnej „wartości dodanej”, to odchudzony tom ze zmienionym tytułem zachowałby co najmniej swoją obecną wartość. (Warto też pamiętać o oczywistości: książka o takiej postaci nie byłaby czymś wyjątkowym i trudniejszym do zaakceptowania przez odbiorców. Dość częstą praktyką jest przecież publikowanie prac będących zbiorem niezależnych studiów).

Spójrzmy więc, jak radzi sobie Żyszczyński we *Wprowadzeniu* z przekonaniem czytelnika, że „Książka *pozornie* składa się z trzech luźno połączonych esejów” (s. 9, kursywa dodana). Sądzę, że nieco dokładniejsza analiza kilku fragmentów książki da okazję do zweryfikowania moich wcześniejszych krytycznych ocen.

Pierwszym, naturalnie nasuwającym się tu przedmiotem komentatorskich uwag jest sposób objaśnienia przez autora wyeksponowanego w tytule książki pojęcia nihilizmu. Jeśli bowiem zgodnie z przytoczonym wskazaniem Żyszczyńskiego rzeczywistość jest silne spoiwo trzech esejów, to z pewnością jednym z jego podstawowych składników musi być (powinien być) tytułowy *nihilizm*. Stąd też oczekiwanie czytelnika, że w obszernym *Wprowadzeniu*, zwłaszcza w jego paragrafie *Pojęcia kluczowe albo uzasadnienia ciąg dalszy* (s. 13–17), uzyska on jako tako solidną eksplikację przyjętego tu rozumienia nihilizmu. Wydaje się to oczekiwanie uzasadnione i niewygórowane. Jak więc prowadzi wywód Żyszczyński w kolejnych akapitach prezentujących nihilizm?

Krok 1 (akapit pierwszy paragrafu *Kluczowe pojęcia*). Autor zauważa i zapowiada w związku z pojęciem nihilizmu: „Jakkolwiek nadmierne dopracowanie terminów filozoficznych nie ma sensu, bo skazuje na akademickie abstrahowanie od wewnętrznego spluralizowania dyskursu, *spróbuję uczynić zadość wymogom uczoności*” (s. 13, kursywa dodana).

Komentarz: co do wstępnej oceny generalnie zgoda; jako czytelnik przyjmuję zapowiedź wykonania roboty pańszczyźnianej przez autora podporządkowującego się wymogom akademickimi.

Krok 2 (akapit drugi). Autor pisze: „Narracja znawców tematu [czyli nihilizmu — dop. K.S.] afirmuje eklektyczne scalenie znaczeń. Według niej czynność negocjowania, utożsamienie bytu i wartości z nicością oraz stan skrajnej depresji tworzy jednorodną, konceptualną całość zwaną nihilizmem. Zmiana proporcji między poszczególnymi składnikami wpływa jedynie na klasyfikacyjny opis intelektualnego gadżetu, czyli dookreślenie typu. Ulotna samoświadomość nihilisty usiłuje osiągnąć, obrócić w pył najróżniejsze pojęcia. Porusza nią spaczony pęd ku śmierci lub resztką nadziei na zrzucenie oków beładnej doczesności, lub też zrezygnowana akceptacja oceanów absurdu. Chce uśmiercać każdą waloryzację, dowolny pozytyw, wszelką totalizującą tożsamość i jednocześnie unikać powrotu do punktu wyjścia. Logiczną zasadę podwójnej negacji zastępuje irracjonalną dialektyką prowadzącą do odrzucenia wszelkiej absolutyzacji i wyrzykowego sproblematyzowania” (s. 13). Przypis wskazuje, że przytoczony tekst referuje poglądy Wolfganga Müllera-Lautera. W dalszej części pojawia się obszerny cytat z artykułu niemieckiego autora, pozbawiony jednak definicyjnych określeń nihilizmu.

Komentarz: (a) czytelnik otrzymuje rodzaj metakomentarza w kwestii nihilizmu i nie jest jasne, czy Żyszczyński akceptuje tę „narrację znawców”, czy podobnie jak oni ujmuje w swojej pracy nihilizm. W przedstawionej postaci te uwagi są rodzajem swobodnych wariacji na temat nihilizmu, samoświadomości nihilisty, wariacji zawierających bardzo dyskusyjne składowe — w tym, niezwykle silne tezy filozoficzne (na przykład, *utożsamienie bytu i wartości z nicością!*). (b) Gdyby było tak, że je Żyszczyński akceptuje, to nawet powierzchowna wiedza o bohaterach jego książki pozwala stwierdzić, że nie pasują oni do tej specyficznej charakterystyki nihilizmu¹⁰, i w ten sposób czytelnik wprowadzony zostaje w stan poważnej konfuzji! Nie ma wskazań rozwiązania tego dysonansu poznawczego.

Krok 3 (czwarty akapit). Autor zaskakuje czytelnika taką oto deklaracją: „Nihilizm *podobno* odsyła do zjawiska manifestującego się w odrzuceniu zdroworozsądkowego podejścia do zmysłów, powszechnym sceptycyzmie filozoficznym, afirmacji płynnej skończoności, dewaluacji wartości, negacji fundamentalizmu epistemologicznego. *Ale dla mnie wyraża się przede wszystkim w intelektualnej nonszalan-*

¹⁰ Z przytoczonej charakterystyki nihilizmu wynika na przykład, że trzeba by uznać za historycznie nieistniejący reizm Kotarbińskiego, przypisać temu filozofowi „stan skrajnej depresji” *etc.*, *etc.* Są to bowiem niezbywalne wymogi wszelkich postaci nihilizmu wedle przytoczonego poglądu, a autor *Traktatu o dobrej robocie* da się, zdaniem Żyszczyńskiego, klasyfikować jako nihilista. Cóż, w konsekwencji należałoby pisać historię filozofii i kultury na nowo, w szczególności powołać do życia innego Kotarbińskiego, jak też innego Rymkiewicza, odmiennych od tych dotąd znanych szerszej publiczności.

cji zapominającej o języku i logice. Odpowiada za chorobę atakującą zarówno realistów, jak i antyrealistów w teorii poznania. Wirus głupoty nie robi różnicy między immoralistami i dogmatykami moralnymi czy anarchistami i zagorzałymi państwowcami” (s. 14, jeden przypis opuszczony, kursywa dodana).

Komentarz: (a) znowu Żyszczyński rozpoczyna w duchu kłopotliwego dla czytelnika metakomentarza — „Nihilizm *podobno* odsyła...”. Autor przyjmuje postawę dystansu wobec przytoczonej propozycji rozumienia nihilizmu, ale przecież nie może we fragmentach określających swoje narzędzia teoretyczne czynić podobnych uników, poprzestać na uwagach w stylu: „różnie ludzie piszą o nihilizmie”. Jeśli jego praca ma cechować się choćby minimalną racjonalnością, to powinien wprost deklарować, czy przyjmuje albo czy odrzuca któreś z przywoływanych ujęć. W przypadku nieusatisfakcjonowania zastanymi diagnozami powinien w miarę jasno podać własne określenie¹¹. (b) Autor definitywnie jednak obezwładnia czytelnika swoją deklaracją z dalszej części akapitu, którą wyróżniłem kursywą. Przekreśla więc wcześniejsze uwagi? Wprowadza szerszą formułę rozumienia nihilizmu (to jest, *zapominania o języku i logice*)? Cóż, formalnie rzecz biorąc, taka projektująca definicja nihilizmu jest dopuszczalna. Jednak konsekwencje jej przyjęcia są dla jego pracy, jego analiz katastrofalne. Żadnemu z ważniejszych jego bohaterów nie można przypisać — jak to nazywa — *głupoty*, czyli *intelektualnej nonszalancji zapominającej o języku i logice!* I znowu, nie trzeba pogłębionej wiedzy o nich, by to wyraźnie widzieć.

Krok 4 (piąty akapit paragrafu). Żyszczyński rozpoczyna ten blok uwag od stwierdzenia, że „Ujmuje temat bardzo ogólnie” (s. 14) i nie przywołując już więcej *expressis verbis* terminu „nihilizm”, wspomina dalej o trzech instancjach — racji serca, mniemania o autorytecie społecznym oraz wyobrażenia o sile wyższej... — jako ważnych dla jednostki.

Komentarz: czytelnik skupiony na wychwyceniu w tym paragrafie autorskiego rozumienia nihilizmu nie jest w stanie się zorientować, czy sam autor w omawianym akapicie porzucił (zapomniał ?) już o zadaniu, którego się podjął, czy też jego swobodne uwagi o owych trzech instancjach są jakąś zakamuflowaną postacią dyskusji zagadnienia nihilizmu. Obstawiałbym tę pierwszą możliwość, albowiem w kolejnym akapicie mamy komentarz do stanowiska Kotarbińskiego, komentarz zupełnie chaotyczny (zob. s. 14–15), pozbawiony jakiegokolwiek oznaki, że jest ilustracją nihilizmu Kotarbińskiego przy którymś z rozumień sygnalizowanych we wcześniejszych partiach tekstu.

Pora na małe podsumowanie efektów owej pańszczyźnianej roboty, polegającej na określeniu nihilizmu, a więc tytułowego pojęcia pracy. Moja relacja zdaje sprawę z mniej więcej dwóch stron tekstu recenzowanej książki. Przypomnę, referuję fragmenty, o których Żyszczyński stwierdza, że postara się dotrzymać w nich „standardów akademickich” i przedstawić — zgodnie z tytułem paragrafu — kluczowe pojęcie. Wynik? Zadanie okazało się ponad jego siły. Ujawniła się wyraźna słabość

¹¹ Czytelnika tych słów proszę o wyrozumiałość. To warsztatowa jakość komentowanego tekstu wymusza na mnie przypominanie podobnych oczywistości.

badawczego warsztatu¹². Cóż, czytelnik pozostaje z nagim zapewnieniem, wyrażonymi słowami: „nie wychodzę z dowolnego punktu i ogólnie wiem dokąd zmierzam” (s. 20). Wydaje się, że autorytet Żyszczyńskiego (podobnie jak autorytet każdego innego hipotetycznego autora) nie wystarcza w tych okolicznościach do tego, by mogły być te deklaracje przyjęte bez uzasadnionych wątpliwości.

Poważne wątpliwości budzi też inna teoretyczna kwestia rozważana we *Wprowadzeniu*: wskazanie, że praca jest esejem; jest to „popularnonaukowy esej filozoficzno-literacki” (s. 19). Zagadnienie o tyle jest istotne, ponieważ Żyszczyński ma świadomość, że przedstawia czytelnikowi pracę nietypową, niespełniającą rozpozszechnionych standardów właściwych różnym typom rozpraw naukowych (akademickich). Dlatego też poświęca we *Wprowadzeniu* sporo miejsca doprecyzowaniu, z czym odbiorca ma do czynienia, jaki gatunek literacki reprezentuje książka. Jest to zarazem sposób na neutralizowanie możliwych jej krytyk. Także takich krytyk jak moje wcześniejsze uwagi o chaotycznym sposobie narracji, o wtrętach z próbkami „mowy wewnętrznej autora” itp.

Przedstawioną diagnozę, a zwłaszcza towarzyszące jej uzasadnienia oceniam jako mało wartościowe, w niektórych przypadkach odwołujące się do nieuprawnionych rozumowań i sugestii. Poprzestaną tu na komentarzach do niektórych tylko elementów wywodu w kwestii owego charakteru pracy.

We *Wprowadzeniu* mamy jednocześnie powiedziane, że (1) esej, „próba-szkic”, „to forma odpowiednia dla filozofa z prawdziwego zdarzenia” (s. 18) oraz że „w tradycji polskiej i niemieckiej uznanie tekstu za esej oznacza nobilitację, bo otacza go mit elitarności zestrzajającej subiektywne doświadczenie i autorytet”¹³ (s. 18), oraz (2) określenie swojej pracy jako właśnie „popularnonaukowy esej filozoficzno-literacki”. (Towarzyszy temu kilka akapitów uwag o złożoności problemów klasyfikacyjnych w przypadku eseju; zob. s. 18–19).

Powstaje pytanie, czy traktować fragmenty (1) i (2) jako zabieg perswazyjny względem czytelnika w kwestii wartości oferowanej mu pracy? Odbiorca ma do powiedzenia sobie, że w przypadku książki Radosława Żyszczyńskiego ma do czynienia z próbą cenną samą w sobie? Jeśli tak, to wydaje mi się, że to strategia nieskuteczna choćby z tego względu, że przesłance większej tego rozumowania — generalizacja na temat statusu eseju w polskiej i niemieckiej tradycji — daleko do empirycznej oczywistości (a nawet sporego prawdopodobieństwa!). A zupełnie kluczowym jest tu chyba brak możliwości przełamania przez tego typu zabiegi perswazyjne innej zdroworozsądkowej oczywistości, że eseje, podobnie jak inne formy literackie (w tym rozprawy naukowe), dzielone są jednak dodatkowo przez odbiorców na wartościowe i bezwartościowe, dobre i marne, na przynoszące splendor albo wstyd autorowi. Sama określona kwalifikacja krytycznoliteracka danego tekstu nie gwarantuje jego wysokiej jakości teoretycznej (wartości poznawczej) i literackiej. Być może w omawianym przypadku należy spoglądać na wskazane miejsca nie jako

¹² Omawiane fragmenty ilustrują dodatkowo wspomniane przeze mnie wcześniej kłopoty Żyszczyńskiego z prowadzeniem wątku rozważań, ukazują chaotyczność jego myśli.

¹³ Tej diagnozie towarzyszy w dalszej części uwaga autora o istnieniu nielicznych pejoratywnych przypadków użycia słowa esej oraz prognoza, że w przyszłości „zakwalifikowanie wypowiedzi do eseyistki może nabrać pejoratywnego wydźwięku” (zob. s. 18).

na działanie perswazyjne, lecz jako na nieuświadomiany przejaw myślenia życzeniowego Żyszczyńskiego. Pozostawiam tę możliwość bez komentarza.

Także uszczegółowiony przez Żyszczyńskiego opis tego, jakie różnorodne aspekty badanej rzeczywistości i własnej postawy badawczej zamierza uwzględnić (uwzględnić) w swoim eseju (zob. strony 17, 18, 20), co ma mu dać przewagę nad ubogimi pod tym względem typowymi rozprawami akademickimi (naukowymi, jak pisze), nie może być żadnym apriorycznym argumentem dla czytelnika jego *Wprowadzenia* w kwestii jakości książki. Powtórzę wcześniej użyty argument: liczy się jakość zrealizowanego, urzeczywistnionego projektu, a nie to, co jest dopiero planem wraz z deklarowaną gotowością użycia bogatszego, bardziej różnorodnego zestawu materiałów budulcowych, bogatszego niż dotąd zwyczajowo stosowano w pracach akademickich.

Przy okazji ukazywania przez Żyszczyńskiego przewagi formy eseju nad innymi rozpowszechnionymi formami tekstu naukowego ujawnia się, jak bardzo uproszczone jest, oględnie rzecz wyrażając, widzenie przez niego badań naukowych. Autor, zasygnalizuję jedynie ogólnie, moim zdaniem określa się w kontrze do fikcji, do koślawego wyobrażenia o szeroko rozumianych pracach naukowych, wyobrażenia, które niewiele ma wspólnego z prawdziwą różnorodnością rzeczywistych współczesnych badań naukowych i które, w szczególności, *nie skupiają się na relacjonowaniu faktów, nie porządkują myśli wyłącznie za pomocą logiki ...* (zob. na przykład wątek o akademickiej schludności na s. 17).

Na zakończenie moich ocen książki *Kotarbiński, Nietzsche, Rymkiewicz* pragnę wyraźnie zaznaczyć, że poruszyłem jedynie małą część zagadnień, które mogą prowokować reakcję jej czytelnika. Z tego też względu nie mam pretensji do ukazania w niniejszej recenzji kompletnego katalogu jej zalet i niedostatków.